

## **Agnieszka Kołakowska: Z frontu wojny kultur: nowe życie Gramsciego**

Zniszczenie wspólnej kultury, tej „burżuazyjnej”, przez narzucenie kultury mniejszościowej, by stworzyć nowy świat uniwersalnych wartości – o to właśnie w dzisiejszych modnych dyskursach chodzi – pisze Agnieszka Kołakowska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czy kultura jest lewicowa?

Słyszałam parę lat temu, że pewien słynny amerykański profesor literatury, o orientacji modno postmodernistycznej, wśród lektur, jakie zadaje na swoim kursie „wielkich książek”, umieszcza dzieła Gramsciego. Osobliwa to dziś, wydawałoby się, pozycja na takiej liście. Później, ilekroć znajdowałam w różnych europejskich i amerykańskich pismach wzmianki o Gramscim, przypominała mi się ta historia. A wzmianki takie napotykam coraz częściej.

Gramsci uważał, że klasa robotnicza w celu przejęcia władzy musi wprawdzie zyskać hegemonię nad burżuazyjną kulturą większościową, stworzyć i narzucić własną, uniwersalną kulturę, pozbawioną burżuazyjnych przesądów. Nic dziwnego, że znów stał się modny. Słowo „hegemonia”, zwłaszcza w połączeniu z kulturą, przypomina wiele nurtów z obecnej wojny kultur. Jest to kluczowe słowo w dzisiejszym postmodernistycznym, feministycznym i multikulturowym „dyskursie”, w którym pojawia się ono z ponurą regularnością. Zachęcanie grup mniejszościowych, by zwalczały kapitalizm i kulturalną hegemonię

przez zwalczanie większościowej kultury i narzucanie mniejszościowej – to wszystko brzmi bardzo znajomo. Zamiast „klasy robotniczej” czytamy „prześladowana mniejszość” i wszystko się zgadza. Zniszczenie wspólnej kultury, tej „burżuazyjnej”, przez narzucenie kultury mniejszościowej, by stworzyć nowy świat uniwersalnych wartości – o to właśnie w dzisiejszych modnych dyskursach chodzi. Warto też zauważyć, że zniszczenie wspólnej kultury i zwiększenie zależności od państwa ogromnie ułatwia manipulację ludźmi.

Słowo „hegemonia” nie jest słowem neutralnym; jest nacechowane niechęcią do Zachodu i zachodniej kultury. Zawsze chodzi o hegemonię zachodnią, o hegemonię imperializmu, kolonializmu i kapitalizmu. Innego rodzaju hegemonii zresztą być nie może, bo przecież hegemonią cieszą się z definicji ciemieźcy i prześladowcy, kolonialiści, imperialiści, kapitaliści itd., nie zapominając o patriarchacie, a pod jej ciężarem uginają się prześladowane mniejszości. Cytuję, w charakterze ilustracji, fragment (w moim przekładzie na polski) tekstu znanej w Ameryce postmodernistki, Judith Butler, profesora literatury porównawczej na uniwersytecie w Berkeley. Fragment ten jest nie mniej słynny niż jego autorka, ponieważ w 1998 r. *vox populi* obdarzył go pierwszym miejscem w internetowym sondażu, mającym wyłonić najgorszy kawałek prozy:

„Przejdźcie od strukturalistycznego opisu, w którym kapitał ma nadawać strukturę stosunkom społecznym w relatywnie homologiczny sposób, do obrazu hegemonii, w którym stosunki władzy ulegają powtórzeniu, konwergencji i reartykulacji, wprowadziło zagadnienie temporalności do myślenia struktury [*sic*] i zaznaczyło przesunięcie od formy Althusserowskiej teorii, która ujmuje strukturalne totalności jako teoretyczne przedmioty, do takiej, w której wgląd w przygodną

możliwość struktury daje początek odnowionemu pojęciu hegemonii jako związanemu z przygodnymi siedliskami i strategiami reartykulacji władzy”.

Nie chodzi o egzegezę tego tekstu (i tak niemożliwą, ponieważ nic on nie znaczy), zwracam tylko uwagę na pewne wspólne elementy dyskursu między różnymi z modnych dziś ideologicznych nurtów: multikulturalizmem, radykalnym feminizmem, postmodernizmem i polityką tożsamości. Hegemonia, patriarchat, konstrukt, kapitalizm, kolonializm – mamy tu wspólny język, wspólny dyskurs odzwierciedlający pewien obraz świata – pewną kulturę.

Idee, jak wiemy, mają konsekwencje. Konkretnie skutki tej narzuconej kultury, absurdalne i groźne, widzimy na co dzień. Pośród najnowszych jest kilka tak groteskowych i tak bulwersujących, że warto tu o nich wspomnieć.

Trwa obecnie w Danii proces, na którym Lars Hedegaard, prezydent Duńskiego Stowarzyszenia Wolnej Prasy, broni się przeciw oskarżeniom o rasizm. Ośmielił się on bowiem wspomnieć, że kobiety w islamie bywają gwałcone lub zabijane przez własną rodzinę w imię „honoru”. Gdy duński członek parlamentu Jesper Langballe poparł wypowiedź Hedegaarda, został skazany w sądzie za mowę nienawiści. Z kolei holenderski polityk Geert Wilders jest oskarżony o mowę nienawiści przeciwko muzułmanom, o obrazę muzułmanów i o nawoływanie do ich dyskryminacji. Wilders kilka lat temu nakręcił film, gdzie krytykuje Koran za nawoływanie do zbrojnej walki i kwestionuje „pokojowość” islamu. Poza tym od lat toczy walkę o wolność słowa i o możliwość swobodnej dyskusji na temat zagrożenia, jakie stanowi

nieograniczana muzułmańska imigracja w Europie. Parę miesięcy temu, gdy Wilders bronił się w sądzie w Amsterdamie przed oskarżeniami o mowę nienawiści, odbyła się, też w Amsterdamie, propalestyńska demonstracja, na której skandowano „Żydzi do gazu”. Żaden z uczestników, o ile wiem, nie został o nic oskarżony i przed żadnym sądem nie stanął. Wolność słowa – owszem, ale tylko dla niektórych.

Skoro nie wolno, według multikulturalno-tożsamościowej polityki, krytykować „prześladowanych” mniejszościowych grup, nie wolno też krytykować islamskich kultur za sposób, w jaki traktują kobiety. Prowadzi to do trudnych sytuacji dla multikulturalnych feministek, które muszą borykać się z niewygodną sprzecznością: z jednej strony należy potępić sposób, w jaki pewne kultury traktują kobiety, z drugiej nie wolno żadnej kultury – zwłaszcza islamskiej – moralnie osądzać.

Drugi przykład: państwo Johns mieszkają w Anglii i opiekują się dziećmi przed adopcją. Dzieci pod ich opieką mają od 5 do 10 lat. Państwo Johns są czarni. Są powszechnie uznawani za świetnych wychowawców. Są to też pobożni chrześcijanie. W zeszłym tygodniu angielski sąd zdecydował, że nie można im już powierzać dzieci, bo mają zbyt „staroświeckie” poglądy, wskutek których odmawiają indoktrynowania dzieci znajdujących się pod ich opieką przekonaniem co do wyższości homoseksualizmu nad heteroseksualizmem. (Kilka lat temu weszła w życie w Anglii ustawa o adopcji, która nakazuje władzom lokalnym upewnić się, że rodziny adoptujące dzieci czy opiekujące się nimi tymczasowo będą te dzieci wychowywać w należytej atmosferze szacunku dla „tolerancji” i „różnorodności”. Wskutek tego zamknięto w Anglii wszystkie katolickie agencje adopcyjne.) Przypomnijmy: chodzi o dzieci w wieku poniżej 10 lat.

Nieistotne jest, że państwo Johns nigdy dotąd tego tematu z dziećmi pod ich opieką nie poruszali i nie sądzą, by kiedykolwiek stanął on na porządku dnia. Sąd oświadczył, że prawa homoseksualistów do ochrony przed dyskryminacją mają pierwszeństwo nad prawem chrześcijan do swobodnego okazywania swojej wiary i wartości moralnych. Sugerował też, że najbardziej szkodliwa dla dzieci byłaby nie tyle chrześcijańska wiara państwa Johns, co ich moralne przekonania.

To że państwo Johns są czarni, w obecnym klimacie już się nie liczy. Zmieniło się stopniowanie w polityce tożsamości. Ale zastanawiam się, co by było, gdyby państwo Johns byli muzułmanami? Nie wyobrażam sobie, by sąd postąpił tak samo. Chociażby ze strachu.

Niektóre z tych kwestii, zwłaszcza te dotyczące muzułmanów, mogą wydawać się w Polsce odległe. Na razie. Ale polityka tożsamości, zwalczanie tradycyjnej moralności, zwalczanie chrześcijaństwa, podważanie wolności słowa, próby zniszczenia wspólnej kultury i tożsamości – to już są rzeczy o wiele bliższe.

*Agnieszka Kołakowska*

Tekst pochodzi z *Plagi słowików* – książki, która ukazała się nakładem Teologii Politycznej. Kup ją już teraz!